

# OGNIŚKO

## DOMOWE

### Trzysgodnik

WARSZAWA  
dnia 18 (30) października  
1874 r.

„OGNIŚKO DOMOWE” wychodzi w każdy piątek.  
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.  
na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; —  
kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCJA  
przy ulicy Bielańskiej  
Nr 8 nowy.

## SŁOWIANIE

na ziemi Madziarskiej<sup>1)</sup>,

PRZEZ

A. H. Kirkora.

Dziwne te Węgry! Trzyszczępy europejskie: słowiański, niemiecki, i włoski, zostają pod wodzą szczepu azyatyckiego, Madziarów, który tu przywędrował za ledwo w VII-em stuleciu, a za ledwo w końcu IX-go osiadł w dzisiejszych Węgrzech i stanowi mniejszą połowę ludności ogólnej. Tu bowiem na przestrzeni 4,790 mil kwadratowych mieszka 14,234,205 głów<sup>2)</sup>, ogólnej ludności, z tych około 6 milionów Madziarów, blisko 8 milionów Słowian, a reszta Niemcy, Wołosi, Romuni, Żydzi, Cyganie.

Przed najściem Madziarów, panami tej ziemi byli Słowianie, głównie w Przeddunajsku, w Przedciszu i w okolicy tatrzańskiej. Są tu Słowacy, mieszkający w Tatrach, nad Dunajem i Cisa, których liczba wynosi przeszło 3 mil.; Rusini i Sotacy osiedli pod Tatrami na granicy Galicyi przy rzece Cisie w liczbie przeszło 1 mili; Chorwaci, mieszkający na Pomorzu adryatyckiem, a których ludność wynosi około 2-ch mil.; Serbowie w południowych Węgrzech i Sławonii, do nich także należą Szokcowie, a ogół wynosi przeszło 1 mil. i Słoweńcy (Cho-

<sup>1)</sup> Szczygóły o Słowianach na ziemi Madziarskiej czerpaliśmy ze znanych prac Szafarzyka, Palackiego, Słowaka Czapłowicza, Hilferdinga, oraz kilku innych. Z prac polskich najwięcej korzystaliśmy z wielce szacownych artykułów o słowiańszczyźnie N. Medyńskiego zamieszczanych w Pamiętniku powszechnym, oraz K. Sienkiewicza w wydawanym przez niego Skarbcu historycznym.

<sup>2)</sup> Według Fr. Kolb'a (Handbuch der vergleichenden Statistik, von Fr. Kolb, Leipzig, 1871). Co do ludności słowiańskiej niepodobniestwem jest bezwarunkowo brać ze źródeł niemieckich; stosowaliśmy się przeto do wyliczeń Szafarzyka z lat dawnych, mając na względzie, że od tego czasu (od r. 1842) ludność znacznie się zwiększyła, a to tak dalece, że zamiast dawniejszej ogólnej ludności Węgier 11,109,192 dziś już liczą 14,234,205.

rutanie) na granicy Sztyrska, tych liczba niewielka, około 130,000 (z ogólnej liczby tego szczepu 1,248,000).

Ludność ta dziś już bardzo pomieszana z węgierską i niemiecką. Tak np.: w Przeddunajsku, w krainie Preszburskiej liczy się osad madziarskich 164, słowackich 147, niemieckich 19, w krainie Nitrańskiej słowackich 412, madziarskich 47 i niemieckich 10; Nowogrodzkiej osad słowackich 113, madziarskich 148, niemieckich 7; są wszakże i wyłącznie osady słowiańskie (przeważnie słowackie), jak np. w krainach *Lipowskiej, Zwoleńskiej, Turczańskiej, Orawskiej, Trenczyńskiej* i innych. Jeszcze większą mieszaninę widzimy w *Zadunajsku*, gdzie np. *Szomocka* kraina ma 268 osad madziarskich, 35 niemieckich, 33 chorwackich, 18 słowackich, 7 wendyckich, 1 serbską; ale koroną tego chaotycznego zamętu może służyć *Zacisze*, gdzie np. w krainie *Satmarskiej* osad madziarskich 141, wołoskich 124, niemieckich 19, rusińskich 19, słowackich 3, czeska 1, armeńska 1! W *Chorwacku*, w krainach *Zagrabskiej, Warażyńskiej i Krzyżskiej*, liczących 7 miast królewskich, 21 miast mniejszych i 1473 wsi, mieszkają prawie wyłącznie Słowianie-*Chorwaci*; Madziarów zaś zupełnie niema. A jest rzeczą godną uwagi, że na *Pograniczu Wojennem*, stanowiącem także prowincją Węgierską, w krainie *Chorwackiej*, mieszkają *Serbowie* a Chorwatów zgoła niema.

Widzimy stąd jak wielka mieszanina narodów, zamieszkuje niezbyt wielką ziemię węgierską, tak, że niema prawie okolicy, gdzieby mieszkańcy mówili jednym językiem. Trzeba także zauważyć, że właściwi Węgrzy, czyli Madziarowie nigdzie granicy swego kraju nie dotykają, gdyż od północy, południa a wcześniej i od zachodu są otoczeni przez Słowian, od wschodu ku Siedmiogrodzkiej ziemi przez Wołochów, od Zachodu zaś przez Niemców. A widzieliśmy już, że i wewnątrz kraju słowiańska ludność w wielu miejscach jest przemagająca.

Po miastach najwięcej mieszka Niemców i Słowaków; tylko *Debreczyn, Lejedyn, Kecskemet, Miskowicz, Waradyn* zasiedlone Madziarami, w samej zaś *Budzie* całe miesz-

czaństwo zupełnie niemieckie, tak samo, jak w *Preszburgu, Szopronie* i innych znacznie większych miastach.

Słowiańskie miasta w Węgrzech są następujące: *Skalica, Trenczyn, Bańska, Bystrzyca* (Neusohl), *Zboleń* (Altsohl), *Brzezno, Krupina, Libietowa, Nowa-Bania* (Königsberg), *Pukaniec, Biała* (Dillin), *Preszow* (Eperies), *Bardijów, Sabinów, Tyrnawa, Modrze, Peżynek, Świętojersk, Kremnica, Szcawnica, Kežmark, Lewocz*, i wiele innych miast. We wszystkich tych miastach większą część ludności składają Słowianie. U Serbów węgierskich najważniejsze miasto *Nowy-Sad* (Neusaz) kwitnące obszernym handlem. U Chorwatów *Zagrab'* piękne i ludne miasto.

Słowacy stanowią podstawę dobrobytu całych Węgier. Na ich barkach spoczywają najważniejsze gałęzie rolnictwa, rzemiosł i rękodzieł, handlu i przemysłu. Oni to uprawiają rolę, hodują bydło, prowadzą rzemiosła, pracują w górach, dzielni z nich jeźdźcy i pływacy. Oni też znani są w całej słowiańszczyźnie i w Niemczech jako podróżni przekupnie: preolejkarze, drelicharze, płóciennicy, mącznicy, ogrodnicy, druciarze i t. d. Znaczna część Podtatrzańskich Słowaków idzie latem na zarobek do południowych Madziarów i do Polski. U serbskich Słowian kobiety są skarbem prawdziwym; gdy mąż próżnuje, żona i dziewczki odbywają wszelkie roboty, one obsługują mężów, karmią dobytek, zaprzęgają i t. d. Jeżeli mąż ma gdzie jechać, żona musi nie tylko powóz przyrządzić, zaprządz — ale podsadzić pana męża, lejce i bizun do rąk mu podać. Inaczej się dzieje u tych samych Serbów w okolicy szomockiej: tam mężowie pracują za swoje żony i wpadają w drugą ostateczność, gdyż utrzymują nawet mleczywo, znoszą drzewo i wodę, piorą bieliznę a nawet jeść gotują!

Azyata-Madziar panoszy się, objada się pszennym chlebem, tuczonym mięsem i zapija to własnym winem, które mu Słowak przyrządził. Słowak pracowity posila się wódką zakąsując owsianym lub jęczmiennym, a rzadko żytnim chlebem. Chorwata lubi piwko i proso. Serbowi smakuje kukuruza, bób, fasola a

najwięcej wódka. Rusin, najbiedniejszy ze wszystkich szuka zapomnienia o troskach dziennych w kieliszku. Najślabszy też jest ze wszystkich co do sił fizycznych. (d. e. n.)

## WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY

Sierpień — Wrzesień 1874 r.

K. WŁ. WÓJCICKIEGO.

(Dalszy ciąg.)

Był to w roku 1867, gdy służący mi doniósł, że jakiś chłop chce się widzieć ze mną. Zaciekawiony proszę go i wchodzi do tego pokoju wieśniak w kapocie, smukłego wzrostu chudego i bladego oblicza. Był to, jak się zaraz od mego gościa dowiedziałem, zagrodnik z pod Żywca, Jan Szwed ze wsi Biedaszkowa.

— Ja tu przyszedłem, mówił z ukłonem, do pana profesora, abym go poznał i przypatrzył się temu, co takie piękne i rozumne książki pisze, bo ja czytałem *Wykład jego filozofii*; kupiłem sobie tę książkę za grosz ciężko zapracowany.

Zdumiony tem wyznaniem, pytam czy ją zrozumiał dobrze.

— Czytałem potrochu i rozmyślałem, wiele zrozumiałem dorazu, czego niepojąłem zaraz, to uczyłem się na pamięć, i przy robocie na wszystkie strony każdą myśl obracałem, aż zrozumiałem dobrze; niech mnie pan egzaminuje. Chciałem prosić czy pan profesor pozwoli pisywać do siebie.

— A! z największą chęcią mój kochanku! zawołałem z radością, ja ci na każdy list odpiszę.—I patrz!

Tu Kremer powstał, wydobył z szuflady grubą paczkę papierów, na których zwierzchniej karcie napisał:

„Korespondencya z Janem Szwedem gospodarzem z pod Żywca.”

— Gdy znajdę chwilę wolniejszą, napiszę o tem rzecz obszerną i przysłę ci zaraz, będzie to przedmiot zajmujący:

Kiedym mu podziękował za obietnicę tak miłą, zapytałem zarazem o tego górala.

— Uściskałem go serdecznie, (odrzekł mi Kremer), bywał tu u mnie, ile razy przyjechał do Krakowa, ale coraz wyglądał gorzej. Kiedym go długo niewidział, i na list mój nie odpowiedział, dowiadywałem się pilnie i bolesną otrzymałem wiadomość, że umarł na suchoty!

Wymówiwszy te słowa, smutnie opuścił głowę na piersi i westchnął jakby po stracie przyjaciela.

O Warszawie zostały mi w pamięci najmilsze wspomnienia. Pierwszy raz w roku 1824 odbył, podobnie jak Sebastyan Klonowicz, podróż z Krakowa do Warszawy na galarze ze zbożem i płynął całe trzy tygodnie. Po drodze z dwoma towarzyszami odwiedził Puławę. Przybywszy do Warszawy postanowił poznać Kazimierza Brodzińskiego, którego imię już brzmiało szeroko po kraju. Dowiedziawszy się o jego mieszkaniu na *Nowym-Szuecie* ruszył żwawo, ale nieśmiały studentek uczuwał coraz większego *boja*, gdy wszedł do sieni i miał drzwi otworzyć.

— Serce mi biło młotem; długo stałem cały drżący zanim nabrałem odwagi, że za klamkę schwytałem i przestąpiłem za progi mieszkania śpiewaka *Wiesława*. Nie było przedpokojem, od razu więc ujrzałem się w obszernej komnacie, założonej książkami. Za stołem na kanapce siedział Brodziński; przygotowałem przepyszną do niego przemowę, której się doskonale wyuczyłem na pamięć, płynąc z flisakami przez tyle dni, ale teraz wszystko zapomniałem, język mi skołowaciał, i zaledwie wybąkał, że z Krakowa przybył dla jego poznania. Na te słowa zerwał się co żywo z kanapki, posadził mnie obok siebie, uściskał serdecznie i pocałował w czoło. Ta słodka chwila życia mego, stoi przed oczyma mojemu jakby to wczoraj było!

A mówił to wzruszonym głosem.

W cztery lata później był w Warszawie, ale krótki miał czas do jej obejrzenia, dotknięty niemocą bowiem przeleżał w szpitalu. To też gdy przybył do tego miasta, 1859 roku, byłem mu przewodnikiem: z ciekawością oglądał nasz

gród stary; teraz w odwzście, gdy przybył obchodzimy razem miejsca pamiątkowe i miłej rozrywki.

— Musimy jutro pójść obejrzeć razem (mówił do mnie), na Kleparzu, klasztor Siostr Miłosierdzia Świętego Wincentego á Paulo, i kościół nowy podług planu Filipa Pokutyńskiego wykonany<sup>1)</sup>. Jest on już skończony, a teraz wewnątrz, zaczęto *al fresco* ściany jego i sklepienia malować. Styl to czysto romański, i zaszczyt naszemu budowniczemu przynosi za wykonanie tak pięknego dzieła, z zachowaniem w całej pełni właściwego stylu architektury. Tam spoczywają zwłoki samego biskupa Łętowskiego, który klasztor ten zaczął z ruiny dźwigać, ale dzisiejszy stan i nowa świątynia pańska to zasługa wyłączna przełożonej siostry *Talbot*. Rozumna to wielce kobieta, pochodząca z bogatej rodziny francuskiej tu przybyła i w tych gmachach imię swoje uwieczni.

Idąc plantami i Kleparzem rozmawialiśmy o zmarłym biskupie Łętowskim.

— Znałem go zbliska, mówił Kremer, bywałem często uniego, w młodości żołnierz, później w stanie zakonnym, zachował wszystkie rysy charakteru starodawnego szlachcica. W mowie i pismach często szorstki i rubaszny. Nieogładał się na żadną dostojność, ani pięć piękną, prawdy nie obwijał w bawełnę, chociażby ta mogła razić delikatne, salonowe uszy. Bywałem często u niego na obiedzie, raz mi opowiedział szereg zdarzenia, które miał tego właśnie rana. Służba się rozeszła, nikogo nie było, gdy nagle ukazał się jakiś drab olbrzymiego wzrostu, z twarzą czerwoną i nabrzęklą, z grubym kiem, domagając się natarczywie i zuchwale

1). Filip Pokutyński Architekt, profesor budownictwa w Instytucie Technicznym w Krakowie, członek b. Towarzystwa Naukowego krakowskiego, znanym jest zaszczytnie w swoim zawodzie. W ozdobnej edycji wydał trzy zeszyty publikacji p. n. *Kościół Krakowski* (wydanie autograficzne), w formacie wielkiego arkusza, obejmujące *Kościół Ś-go Piotra* w Krakowie, i *Facyatę główną kaplicy Zygmuntowskiej* na Wawelu, w 2-ch zeszytach (1864—1866 r.) Nadto w r. 1865 w podobnej formie wydał: „*Willa w Piekarach*.” Budynek pełen artystycznego smaku.

## U OGNISKA.

W nadchodzącą niedzielę, t. j. dnia 1 listopada, ma się odbyć pierwszy doroczny koncert na rzecz niezamożnych studentów tutejszego uniwersytetu. Dyrekcją przyjął na siebie p. Adam Müncheimer, a udział, oprócz amatorów, przyrzekli pierwszorzędni artyści naszych teatrów. To też jesteśmy pewni, że publiczność, z chętną zawsze spieszącą pomocą ilekroć idzie o dobry uczynek i tym razem nie będzie potrzebowała, żeby jej przypomniano, że swój grosz ofiarny może złożyć na tym ołtarzu ogólnego dobra z całym przekonaniem o poświęceniu go na cel szlachetny i użyteczny. Spełnienia się tych naszych oczekiwań spodziewać się możemy z tym większą pewnością, ponieważ i chwila na urządzenie tego koncertu dobrze została

wybrana; będzie to bowiem pierwszy koncert w tegorocznym zimowym sezonie.

Kiedy mowa o koncercie, mającym się odbyć na rzecz niezamożnych studentów uniwersytetu, niechaj nam będzie wolno podzielić się z czytelnikami myślą, jaka nam się zawsze nasuwa na widok wielkich afiszów, koncert ten zapowiadających. Oto przychodzi nam do głowy, że czy to rozmyślnie, czy bezwiednie, ale bądź co bądź dopuszczamy się wielkiej niesprawiedliwości. Pamiętamy o starszej braci, zapominając zupełnie o maluczkich. Spieszmy z pomocą i materialnym poparciem pracowitej i chciwej młodzieży, kształcącej się w najwyższym w kraju naukowym zakładzie i spełniamy względem niej obywatelski nasz obowiązek. Ale z drugiej strony nie troszczymy się wcale o tych, którzy więcej jeszcze potrzebują pomocy i do naszej nad sobą

opieki słuszne mają prawo. Chcemy tu mówić o młodzieży gimnazjalnej. Wieluż to pomiędzy nią znajduje się synów ubogich rodziców, którzy dlatego tylko zmuszeni są opuścić szkołę, iż nie posiadają funduszu na opłacenie wpisu, sprawienie mundurka lub kupno koniecznych książek. W braku wszelkich środków, w braku skądbydz jakiegokolwiek pomocy, dziecko przestaje uczęszczać do szkoły i rośnie w ciemności, aby najczęściej stać się ciężarem społeczeństwa, którego mogło zostać pożytecznym członkiem. Czyż zatem winić nam wypada obojętność ogółu? Bynajmniej. Śmiało ręczyć możemy, że nie zbrakłoby funduszy, że ogół podałbyby ochoczo ze swoją ofiarą, byle się znaleźli ludzie, coby z chętną a rozumną wystąpili inicjatywą. Pod tym względem prowincjonalne nasze miasta wyprzedziły Warszawę i dają jej przykład godzien naśladowania urządzając loterye, koncerty, teatry amatorskie i odczyty na rzecz ubogich uczniów

hojnego datku, jako dla tego, co dla kraju wielkie położył zasługi. Biskup słuchał jego słów cierpliwie, które nie były prośbą, ale grobą, obejrzawszy się zaś, że nie było nikogo, rzekł spokojnie do napastnika.

— Zaraz ci dam jałmużnę, tylko pójdę do kantorka.

Jakoż otworzywszy takowy w drugim pokoju, dobył z niego nie pieniądze, ale nabity rewolwer, odwiódłszy więc kurek, wchodzi napowrót. Ale Łętowski nie był to teraz pochylony wiekiem starzec, szedł krokiem podwójnym, wyprostowany, z błyszczącymi oczyma, a wymierzywszy lufę rewolweru prosto w piersi draba, przemówił innym głosem:

— Ja kochanku stary żołnierz umiem celnie strzelać i z bronią się obchodzić; jak mi zaraz nie pójdiesz stąd to jak psa zastrzelę.

Napastnik zbladł jak chusta i szybko opuścił mieszkanie biskupa.

Zbliżyliśmy się do murów ogromnego gmachu klasztoru, z pośrodku którego murów, wygląda wysmukła wieża.

— Co za szkoda, rzekł Kremer, że tak piękny kościół zakryty zupełnie od ulicy, a byłby jej najcenniejszą ozdobą. Siostry Miłosierdzia, które tu zamieszkują wiele dobrego świadczą dla biedniejszej ludności Krakowa, nie tylko same doglądają zbolałych, niosąc im potrzebną pomoc w najstraszniejszych chorobach, ale gdy szpital przepełniony, spieszą na miasto z chrześcijańską posługą. Kto zna bliżej ich poświęcenie bez granic, ten bez głębokiej czci nie może spoglądać na ich ciemne habity i białe welony, a duszą wszystkiego jest ich przełożona siostra *Talbot*, którą radbym z serca poznać.

Weszliśmy do sieni klasztornej. Zakonnica obecna dowiedziawszy się o celu naszego przybycia prosiła ażebyśmy chwilę w małym refektarzu obok spoczęli, aż klucze przyniesie.

Po krótkiej chwili ukazała się druga zakonnica, niższego wzrostu, lepszej nieco tuszy, czerstwa na twarzy, łagodnego spojrzenia, która z wyrazem uprzejmości zaprosiła nas do obejrzenia kościoła, którego wnętrze całe, malarze z Wiednia przyozdabiają *freshami*.

miejscowych gimnazyów. U nas do tej pory widzieliśmy tylko pojedyncze w tym względzie usiłowania: w roku zeszłym, jeden z trzech poranków literacko-artystycznych, urządzonych staraniem pp. Roszkowskiego i Müncheimera, poświęcony był na dochód niezamożnej młodzieży gimnazjalnej. Kuryery od czasu do czasu otwierają swoje szpalty i zbierają ofiary na opłatę wpisu, za jakiegoś pragnącego kształcić się biedaka. Ale to wszystko niewystarcza. Należałoby obmyśleć środki zgromadzenia na ten cel większego nieco funduszu, tak iżby w chwili, kiedy nadchodzi czas opłacania półrocznego wpisu, gotowy już posiadać kapitał. Zdaniem naszym, oprócz dochodu z koncertów, widowisk i odczytów, możnaby zebrać dosyć znaczny fundusz, gdyby redakcyje pism zechciały przyjmować dobrowolne ofiary i stałe w tym celu w szpaltach swoich otworzyły rubryki. Rzucamy tę myśl w nadziei, że znajdzie odgłos u tych wszystkich, którzy jej ważność ocenić

Śliczna to budowa, a malowidła artystycznie wykonane i ze smakiem, wprawiły nas w podziwienie.

— Kiedyż ukończoną zostanie ta robota? zapytałem grzecznej naszej przewodniczki.

— Za parę miesięcy, odrzekła czystym językiem polskim, lubo czasem zarywającym na akcent cudzoziemski, ale proszę panów dalej, z ogrodu zobaczymy całą naszego kościółka strukturę. Ja pójdę przodem.

Ogród obszerny warzywniowocowy starannie utrzymywany: kościół do niego właśnie frontem obrócony. Zbudowany cały z cegły czerwonej, nietynkowany, barwą swoją przypomina, ozdobę rynku krakowskiego, świątynię Panny Maryi.

Zakonnica szła zwawo naprzód, podążałem za nią, a Kremer co chwila stawał, oglądając pilnie ozdoby architektoniczne z gliny palonej, i unosząc się nad niemi. Stanęliśmy w miejscu właśnie, z którego nie tylko front w całej okazałości można doskonale widzieć, ale i całą boczną stronę kościoła.

— Panie Józefie! zawołałem, chodźcie do nas, stąd najlepszy widok!

Ale gdy niedosłyszał, silniejszym zawołałem głosem:

— Kremer!

Na to imię, zakonnica zbliżyła się do mnie i zapytała:

— Czy to jest pan Józef Kremer?

— Tak, to jest Józef, odrzekłem.

— Bardzo rada jestem, że go poznała, przemówiła z ożywionem obliczem.

Tymczasem Kremer nadszedł. Drzwi od dolnego kościoła były otwarte naścieżaj: w nim na środku stoi kamienna trumna, obejmująca zwłoki biskupa Łętowskiego. Zeszliśmy po wygodnych schodach. Wryty na niej napis po łacinie, obejmuje treściwie datę urodzenia i śmierci, oraz wymienienie godności kościelnych, jakie piastował.

Kiedyśmy wyszli z podziemia:

— Wiesz co, mówił Kremer, to dzieło sztuki warto aby było zamieszczone w waszych ilustracyach. Dałbym ci fotografię, ale mój

potrafią, a na podwyższenie poziomu ogólnej oświaty pomiędzy przyszłymi obywatelami kraju, nie patrzą obojętnie.

Kiedy z nadejściem jesieni opustoszał ogród saski i inne miejsca rozywek na świeżem powietrzu, a chciwi zabaw i wrażeń Warszawianie muszą ich szukać między czterema ścianami zamkniętej sali, niech nam będzie wolno wypowiedzieć jedną, chociaż drobną uwagę o odczytach publicznych. Wiemy z doświadczenia, że między profesorami tutejszych średnich zakładów naukowych jest wielu bardzo zdolnych i wysoce wykształconych ludzi. Sądzimy, więc, że ludzie ci wielką by nam wyświadczili przysługę, dzieląc się z nami częstką zdobytej przez siebie wiedzy. Otóż proponujemy, aby profesorowie gimnazjalni w porze zimowej, jako najodpowiedniejszej, wypowiedzieli szereg odczytów z przedmiotów choćby wchodzących

egzemplarz zanadto ciemny, nie wszystkie ozdoby architektoniczne są na niej widoczne.

— To ja, wyrzekła zakonnica, zaraz będę służyła dobrą fotografią.

I poszła do kościoła; my tymczasem usiedliśmy na drewnianej ławce pod ścianą. Zakonnica niebawem wróciła i przyniosła dwie fotografie przedstawiające kościół zewnątrz i wewnątrz i mnie doręczyła. Kiedym jej dziękował za ten podarek, rzekł Kremer:

— Radbym poznać siostrę Talbot, o której mówiłem idąc tu przez całą drogę, czy jest w klasztorze?

— To ja jestem, odpowiedziała skromnie nasza przewodniczka.

Na te słowa obaj zerwaliśmy się z ławki i odkrywszy głowy, oddali głęboki jej pokłon. Hołd ten, widać był jej przyjemnym, uśmiechnęła się wdzięcznie i przeprowadziła aż do podwoi wiodących na ulicę.

Idąc Kleparzem, rzekł Kremer.

— Rad jestem, że siostrę Talbot poznałem, tyle się nasłuchałem dobrego o niej od biskupa Łętowskiego. Szanowałem ją, chociaż nigdy w życiu nie widziałem, podziwiałem jej rozum i energię, jak się brała do dzieła, ażeby je ukończyć. A to dzieło niemałe, jak widzieliśmy, te gmachy. Umiała składekami z Francji i z kraju zabrać potrzebne sumy. Ta kobieta z prawdziwego namaszczenia jest zakonnica. Z bogatego rodu, zamożna, jak widać była dorodną, świat się jej uśmiechał, ona rzuciła wszystko, aby oddać pracę całego życia posłudze chorych i nieszczęśliwych bliźnich. Czyż to nie najczystsze poświęcenie w duchu i myśli Zbawiciela?

Weszliśmy na cieniste planty, co tak wdzięcznie okalają wieńcem, stary, pierwotny Kraków.

— Dziś grają Barbarę Radziwiłłównę, Felińskiego, czy nie będziesz w teatrze? zapytałem.

— Nie! odpowiedział, bo nie lubię wszystkich *Barbar* w naszych tragediach. Jestem przekonania, że Barbara Radziwiłłówna tak jak ją stworzył Feliński lub Wężyk, nie jest tragedją we właściwym znaczeniu. Smętna

w zakres zwykłych nauk gimnazjalnych, byle by odczyty te wypowiedziane były w formie przystępnej dla ogółu słuchaczy i traktowały popularnie o przedmiotach, zasługujących na uwagę. Za pomocą takich odczytów słuchacze mieliby sposobność zaznajomić się z postępami danej nauki, a zaznajomienie się takie byłoby łatwiejsze i pewniejsze aniżeli długie szukania w podręcznikach, których często dotkliwy brak czuć się daje; uwagi wypowiedziane żywym słowem prędzej trafiają do przekonania słuchaczy, aniżeli myśli wyrażone martwymi głoskami. Odczyty takie możnaby nawet połączyć z celem dobroczynnym przez przeznaczenie w całości lub w części osiągniętego z nich dochodu, na kształcenie młodzieży gimnazjalnej.

Wiemy, że urządzenie podobnych odczytów szczególnie w początkach znaleźć może pewne przeszkody, ale mamy to przekonanie, że byle odpowiednie wybrano przedmioty i zastosowa-

dola bohaterki, współczucie wzbudzone jej losem w widzu, nie wystarczy, by ona miała znaczenie postaci tragicznej. Trzeba koniecznie, aby w niej była *wina* tragiczna. Ta *wina* na tem zależy, aby *figura* tragiczna cała oddała się wyłącznie jednemu uczuciu, wyłącznie jednej idei. Taką ideą jest np. miłość, przywiązanie rodzinne, uczucie honoru, powinności obywatelskiej i t. p. Prawda, że ta idea, której się poświęca wyłącznie postać tragiczna, nietylko nie jest złą, ale co więcej należy do obyczaju i ma ugruntowanie swoje w naturze duchowej człowieka. Lecz *wina* w tem tkwi, iż postać idąc za jedną, wyłącznie ideą, lekceważy inne idee, które równe mają prawo do bytu a objawu. Więc figura tragiczna uderza i sciera się z innymi ideami i w tej walce ginie. Jej skon jest opłaceniem jej winy, jest pogodzeniem z wiekuiłą prawdą, która obejmuje właśnie równą miłością wszystkie te idee. Takie pojmowanie tragiczności znajdujemy we wszystkich arcydziełach tragicznych, mianowicie u Greków i u Szekspira.

— A cóż mi odpowiesz, że znam jeden tylko, który stawiam najwyżej, jako prawdziwy dramat w naszej literaturze.

— Jaki? zapytał ciekawie.

— *Górali Karpachich*, Korzeniowskiego. Wszystkie on ma warunki tragedji, ileż w nim scen przepysznych! Korzeniowski pierwszy i jedyny, co z prostego życia ludowego wzięł osnowę, i w chwili prawdziwego natchnienia podniósł na szczyt tragiczny. Brak nam krytyki umiejętnej i bezstronnej, smutno pomyśleć, że najwznioslejsze utwory przechodzą obojętnie i nikną z pamięci.

— Prawda! odrzekł Kremer, ale z drugiej strony przyznasz, że u nas w duchu narodowym liryczność góruje, dlatego taka trudność dla najpotężniejszych talentów. Spójrz na najświetniejsze gwiazdy naszej poezji, po której została prawdziwa tragedia. W komedji mamy rzeczywisty geniusz, a tym jest Fredro. Co to za siła komiki płynącej z taką prawdą i prostotą. Weźmy jego *Damy i Huzary*, czy znajdziesz w jakiegokolwiek literaturze dramatycznej, wyższą i naturalniejszą ko-

mikę, jaków *powrót do zdrowego rozumu!* Ja tę komedję Fredrystawiam pomiędzy wszystkimi jego utworami najwyżej pod względem komiki.

Tak gawędząc doszliśmy do domu Kremera i pożegnali do widzenia na dzień następny, ażeby razem zwiedzić *Wolę Justowską* i *Panińskie Skąły*, miejsce ulubione przechadzek prawie codziennych Ambrożego Grabowskiego, nestora naszych archeologów. (d. c. n.)

## Dzieci Żebraczek.

(Dokończenie).

Czemże jest każde takie niemowlę, jeśli nie zadatkami przyszłego społecznego życia narodu, i jakież to mamy ważniejsze i świętsze obowiązki nad ten, aby mu bezbronnemu i nic niewinnemu przed nami, cierpieć tudzież ginąć marnie nie dawać?

Wystawcie sobie tylko, ile dziecko każde potrzebuje troskliwości, — ile starań i opieki około siebie, i pomyślcie, jak te wszystkie obowiązki około niego musi spełniać matka, która sama jeść nie ma, lub też dla której uczucie macierzyństwa równie jest obcem, jak uczucie wstydu i godności? Cóż dopiero pomyśleć o położeniu dziecka pozostającego w rękach kobiety obcej mu całkiem zapewne, która zdolna, w sposób jak to opisaliśmy wyżej, obejść się z niem w każdej chwili, ile razy za środek do wyzyskania jałmużniczego grosza dla siebie, użyć go zechce?

A sierotce takiej któż wówczas przyjdzie z pomocą? kto z niemych jej ustek, które jeszcze skarżyć się nie umieją, dowie się o czynionych jej krzywdach, o spełnianem względem niej okrucieństwie? Powiecie pewno, że zdarzenia, gdzie żebraczki nie swoje noszą dzieci, muszą być bardzo rzadkie, a że znów matka żadna niezdolna jest dziecku swojemu krzywdy ani bólu wyrządzić.

Otóż wręcz wam odpowiem, iż w jednym i w drugim się mylicie. Są matki na świecie gorsze od tygrysic, i właśnie na takie przerabia je zwykle nędza tudzież rozpusta; wypadki też, że żebrzące kobiety nie swoje wcale a cudze noszą dzieci, zdarzają się częściej niż myślimy. Pomimo wszelkiej troskliwości o to policyi, aby każde dziecko po urodzeniu było

jej zaraz meldowane, mimo kar wszelkich, jakie kodeks prawny za ukrywanie dzieci tak zwanych naturalnych, naznacza, — moglibyśmy się przy ściślejszem skontrolowaniu pochodzenia wszystkich dzieci żebraczek, dowiedzieć o niejednym strasznym dramacie, który nocą ludzkiej nieświadomości przykryty, darmo sprawiedliwości nad sobą oczekuje.

Kobieta upadła, kobieta, która życie w brudnym kale występku przepędziła, zdolna jest do zbrodni, o jakich nam się nawet nie śni, — a z takich właśnie kobiet składa się najczęściej klasa owych żebraczek, które po ulicach zastępują nam drogę, prosząc o jałmużnę. Głębia dusz ich czarniejszą jest nieraz od pieczary, w której tylko bazyliuszki i żmije się gnieżdżą! Handlują tak dziećmi, jak handlowały przedtem wstydem. Dlatego, aby być więcej oszczędzanymi przez policyą, traktowanymi miłsierniej przez przechodniów, dla jakiegoś wreszcie dzikiego instynktu panowania nad czemkolwiek, który się tymbardziej w duszy ich odzywa, im świat cały większą przygniata je pogardą, — wyszachrowują one na własność dla siebie, wyszachrowują wyraźnie, dzieci nowonarodzone u kobiet niezamężnych i niewiast, które uwiedzione przez miłość i matkami zostawszy, trochę szacunku u świata radeby jeszcze sobie zachować. Najczęściej ten handel odbywa się nie bezpośrednio z matkami, a przez kobiety, którym dzieci na tak zwane m a m k i zostały oddane. Matka porwana w wir życia, innym znów razem nie mając istotnie środków na zapłacenie za opiekę nad dzieckiem, zapomina o niem zupełnie, wyjeżdża sama z miejsca dawnego pobytu lub gdzie się zapodziewa, tak, że kobieta, której pozostawiono dziecie, nie wie istotnie co z niem robić. Żebraczka jakaś bardzo często podejmuje się wówczas opieki nad sierotą.

I otóż jak dziecie dostaje się w jej ręce. Trudno temu wszystkiemu uwierzyć, opowiadanie wygląda na poemat — a jednakże... spytajmy się nieraz pierwszej lepszej żebraczki, jak się nazywa, kto jest z pochodzenia i czyjem jest dzieckiem, chłopiec lub dziewczynka, która ją ślepą lub kulawą, innym razem starą już zupełnie, oprowadza po ulicach miasta? „Bóg ją raczy wiedzieć, panoczku!” — otrzymaliśmy raz odpowiedź od jednej z kobiet takich, zrobiwszy jej podobne zapytanie. „Przyszło to do mnie małym jeszcze dzieckiem, uczepliło się fartucha i pozostało. Ta i chodzi ze mną, a ja mu chleb daję,” zakończyła.

Było to w nocy, i nie miałem jakoś pod ręką żadnej sposobności sprawdzić do gruntu

no się do wymagań publiczności, odczyty takie chętnych znajdą słuchaczy.

Najtrudniej zacząć, potem pójdzie dalej.

Jedną z najprzyjemniejszych rozrywek podczas długich zimowych wieczorów są bezwątpienia koncerty. Nie mówimy tu o koncertach dawanych na cele dobroczynne, lub też przez którą ze znakomitości muzycznych naszych lub obcych, gdyż te nie będąc częstymi, a mając przywiązane do swoich biletów dość wysokie ceny, nie wchodzą w rubrykę stałych zabaw — ale chcemy pomówić o koncertach orkiestrowych. Tęgo rodzaju koncerty zyskały sobie u nas prawo obywatelstwa, dając publiczności sposobność przepędzenia kilku godzin czasu mniej więcej dość przyjemnie, chociaż pojawiają się tylko raz na tydzień i w godzinach niezupełnie odpowiednich. Prawda, że nie zależy to od dyrektorów tych orkiestr, którzy

są związani innymi obowiązkami; ale o codziennych wieczornych koncertach będziemy mogli myśleć, gdy będziemy mieli naprawdę warszawską orkiestrę niezależną od teatrów i wieczorów tańczących, orkiestrę, która mając na celu jedynie koncerty, będzie się starała przedstawiać jak najlepiej i program swój produkować wypróbowaawszy go poprzednio. Do tej pory Warszawa nie posiada takiej orkiestry. Orkiestry pp. Lewandowskiego i Kuhnego są wprawdzie bardzo dobre i mogą wystarczyć do uprzyjemnienia maskarad i wieczorów tańczących, ale nie są w stanie dawać koncertów w całym słowa tego znaczeniu, gdyż nie mają dość czasu na niezbędne próby. Polkę lub walca o jednej lub dwóch próbach można zagwać do tańca lub nawet na koncercie — lecz poważniejszy utwór, już nie symfonia, ale nawet uwertura, potrzebuje wielu prób, aby wykonanie jej było koncertowem. Przy zawiązaniu się Warszawskiego Towarzystwa Muzy-

cznego, była mowa o utworzeniu orkiestry, lecz skończyło się na słowach i samo Towarzystwo posiłkować się musi orkiestrą Teatru Wielkiego. Jedyna nadzieja w orkiestrze Warszawskiego Konserwatorium muzycznego, wprawdzie początkującej dopiero, ale z czasem mogącej stanąć samodzielnie. Czytaliśmy o mającem się zawiązać stowarzyszeniu akcyjnym, któreby ułatwiło młodym artystom kształcenie się, zaopatrzyło ich w doborowe instrumenty, sprawiło odpowiednią bibliotekę, lecz i to przycichło, a i o samej orkiestrze jakoś nie nie słyhać. Pierwsze koncerty początkujących artystów dały chlubne świadectwo o ich zdolnościach i pracy nauczycieli, serdeczne poparcie i uznanie ze strony publiczności, powinnyby zachęcić tak pierwszych jak i drugich do gorliwej pracy, przy której kiedyś, a może nawet niedługo, orkiestra warszawskiego muzycznego konserwatorium mogłaby oddać Warszawie prawdziwą przysługę, przez urzą-

całej tej strasznej odpowiedzi żebraczki. Lecz czyż to mi i bez tego tyle już nie powiedziała, że resztę wniosków sam sobie mogłem wyprowadzić?

Otóż jeśli to wszystko na bożym świecie się zdarza, jeśli na nim istotnie rodzą się dzieci, do których się żadna matka ani ojciec przyznawać nie chce, — to zważcież teraz czytelnicy, jak podobnie opuszczonej sierotce musi być w objęciach czy w szponach, bo nie wiem jak właściwiej powiedzieć, — takiej kobiety-żebraczki, jeśli los ją na matkę dla niej przeznaczy. Dreszcz was zapewne na myśl już samą o tem przechodzi, drogie czytelniczki — niejedna z was, matką będąc, przytula, czytając te słowa, małe swoje niemowlę mocniej do piersi i zagłada mu w oczy aby się przekonać, że go istotnie nie straciła jeszcze... tak jest... a jednakże droga czytelniczko, ileś razy, powiedz, przeszła obojętnie mimo żebraczki, która takie małe dziecię piastowała na ręku, nie potroszczywszy się wcale o los tego dziecięcia!

Byłaż to rodzona jego matka?

Czy też była to tylko jedna z owych nিকেzmnic, o których wyżej wspomnieliśmy?

Czytelniczka powie sobie zapewne, że jeśli dziecko było na ręku rodzonej, a poczciwiej jeszcze do tego matki, toć wtedy może już nad niem nie ma się czego rozczulać. Lecz i na to jej odpowiemy: „nieprawda.” Niech zwróci tylko uwagę na mróz ten, co lodowacił wówczas ciało dzieciny, niech pomyśli, że ta matka, która ją musiała własną piersią karmić, sama jeść co nie miała, — że niemowlę razem z matką nie miało stałego przytułku, gdzieby choć chwilę przespać się wygodnie mogło; że pokarm, który mu podawano, zdolny je był zatrąć po tysiąc razy — niech pomyśli o tem wszystkim, a pewno odmieni zdanie.

Więc jakąż radę — spyta teraz czytelnik lub czytelniczka, podasz pan na usunięcie ze społeczeństwa tej plagi, która istotnie wielkie i w skutkach niczem nieobrachowane szkody, przynosić mu może? Jak nakazać biednym kobietom, aby nie wydawały na świat dzieci? Jak wreszcie zapobiedz nadużyciom kobiet innych, takim właśnie, o jakich pan opowiadasz? Na te pytania odpowiemy krótko tymczasem, zanim jakaś lepsza potemu sposobność, dostatek większy miejsca w piśmie lub w książce, na szersze i bardziej wyczerpujące traktowanie przedmiotu, nie pozwoli.

Naszem więc zdaniem dwa są środki doraźne, mogące natychmiastowo i skutecznie rozszerzaniu się złego zapobiedz.

Pierwszym z nich jest ogólne miłosierdzie ludzi. Niech dobroczynność ludzka postara

się wystawić jak największą liczbę domów, gdzieby dzieci matek, niemogących najzupełniej zarabiać na ich utrzymanie pracą, znajdowały bezpieczny i ciągły przytułek; niech domy takie pozostają pod szczególną opieką osób serca i wyższego umysłu, kobiet osobliwie, które nie dla pozorów, ani udawania filantropii ale w istotnym poczuciu ważności tego co robią, nad pielęgnowaniem dzieci takich dozór trzymać będą; niech społeczeństwo częstą choćby niewielką funduszów swoich i skarbów na utrzymanie przytułków podobnych poświęci.

Drugim środkiem, już czysto od władzy pochodzącym, niech będzie stanowczy i niedopuszczający wyjątków, zakaz żebrania z dziećmi na ręku. Zakaz taki, gdyby nawet wydanym był bezzwłocznie, w porze, w której miasta nie zdążyły się zaopatrzyć w przytułki dla dzieci, o jakich dopiero nadmieniliśmy, — przyniosłby sam przez się wielką już korzyść sprawie biednych niemowląt. Każda z żebraczek, zmuszona tym sposobem koniecznie do wyszukania stałego dla dziecka, któreby posiadała, schronienia, tem samem zabezpieczyłaby mu już był lepszy nad ten, jaki wiodło dotychczas.

Ludzie, będący honorowymi opiekunami takich dzieci, wywiadywaliby się tymczasem o sposobie, w jaki każde z takowych dzieci, traktowanem jest przez swoją matkę. Jedne z nich, w razie dopatrzzonego niedołęztwa lub też niegodziwości matek, umieszczaliby w szpitalu Dzieciątka Jezus, drugie oddawaliby pod opiekę prywatnych kobiet, płatnych za to że źródła, któreby przygotowała dobroczynność publiczna. Zajmując się tym sposobem wspólnie z władzą, skazując opieszale matki na kary, złym zaś zupełnie, zabraniając nawet całkiem dostępu do swoich dzieci, — nie robiliby nic więcej prawie nad to, co robią dziś osoby będące członkami towarzystwa opieki nad zwierzętami.

A przecież — przecie, co dziecko, to nie koń roboczy!

Podajemy ten projekt, jako projekt tylko, pod rozbiór ludziom praktycznym i lepiej od nas umiejącym wynajdywać leki na wszelkie choroby i kalectwa społeczne. Niechci, wzięwszy do serca rzecz poruszoną przez nas, przedsięwzją co najlepsze będzie, dla usunięcia zła z drogi. Boć naszym celem było tylko jego wskazanie, otworzenie oczu ogółu na ranę, która dotkliwsza od wielu innych, bo dotykająca prawdziwego serca społeczeństwa, jakim jest bezwzględnie rodzina, swobodnie jednakże i bez żadnej przeszkody, od lat tylu już krwią się sączy.

Myślimy, że samo to zwrócenie już naszej

na nią uwagi, wstrzyma w wielkiej dozie jej rozrost. Pytaliśmy się często samych siebie, jakim u licha sposobem kobiety podobne, jakie widzimy żebrzące z dziećmi, po ulicach, mogą posiadać te dzieci?

Czyby to były dzieci z nieprawych związków? Jakoś patrząc na pozór tych kobiet, na ich poddeszły wiek nieraz nareszcie, ciężko jest bardzo w to uwierzyć.

Czyby więc to były matki, które w nędzę, popadły przez nieszczęścia jakieś, przez śmierć np. męża lub coś podobnego, ciężkiego środka ulicznej żebraniny dla utrzymania przy życiu swych niemowląt, chwycić się musiały?

Lecz, o ile wiemy, matki znów takie i takie rodziny, zostają pod opieką dobroczynności. Sprawozdania ciągle po pismach publicznych o tak zwanej *nędzy wyjątkowej*, świadczą o tem najwyraźniej.

Więc czy środków braknie?

Tak jest — lecz wiemy, że wiele jest osób, wcale tak rozpaczliwie jak owe żebraczki, wsparcia niepotrzebujących, a które przecież wsparcie to ze źródeł miłosierdzia publicznego otrzymują.

Czemże się więc dzieje, że tyle kobiet biednych, z dziećmi właśnie, przejdź nam prawie nie daje przez ulicę?

Te pytania zadawaliśmy sobie ciągle i wam też, czytelnicy, te same pod rozbiór dziś odajemy.

Rozbierajcie — debatujcie.

A jeśli do innych i do szczęśliwszych jakichś wniosków, niż te, które wam wymieniliśmy, dojdziecie, — powiemy „Przepraszamy! uwiedliśmy się wrażeniem! O jedną plagę niż myśleliśmy, mniej jest w społeczeństwie naszym.”

*Teofil Tarca.*

## PRZEGLĄD LITERACKI.

*Błękitna Książeczka, powieść p. Walery Morzkowskiej.*

*Je donne mon avis non comme bon mais comme mien.*

Pod tym tytułem dała niedawno „Gazeta Warszawska” czytelnikom swoim powieść znanej naszej autorki. Książeczka w błękitnej oprawie jest tam węzłem intrygi. Znajduje ją w parku pałacowym piękna Natalia księżniczka Staromirska. Przed kilkoma dniami spotkała w tem samym uroczem ustroniu nieznanego sobie młodzieńca, zamienili z sobą słów

Warszawian nie było końca. Tłoczył się tedy ludek ubiegłej soboty.... Zasłona wionęła w górę, ukazał się ulubieniec publiczności i powstał wielki, długi grzmot. Sala zadrzała od oklasków i okrzyków. Wzruszony, łkając prawie odezwał się artysta w te słowa: „jeszcze żyję aby wam za względy podziękować” i nowy rozległ się grzmot, huczniejsze niż przedtem oklaski.... Skończyła się wreszcie ta upajająca aktora wrzawa, Żółkowski grać począł. Grał jak — Żółkowski; trudno było dopatrzeć zmęczenia; rzekłbyś, iż zdrowie samo tryska z tej postaci. Tak ciężko chorował człowiek, krzepki był jednak — artysta.... Niespożyta tkwi siła, w podobnych Żółkowskiemu ludziach, moc wewnętrzna co nieraz łamie i kruszy twardą fizyczną przypadłość!

dzenie codziennych koncertów, na wzór tych jakie są dawane przez orkiestry Bilsego, Strausów i wiele innych we wszystkich niemal znaczniejszych miastach zagranicznych.

Warszawski Instytut Głuchoniemych i Ociemniałych dał nam znowu, podobnie jak w latach poprzednich, piątą z kolei swój Pamiętnik z roku szkolnego 1873/4. Mieści on w sobie wiele rzeczy pouczających i ciekawych, czego dowodem wykaz jego treści, która jest następująca: 1. Systematyczny sposób początkowego wykładu nauki religii i moralności; 2. O kongresie odbytym w Wiedniu 1873 r. w sprawie wychowania ociemniałych; 3. Warunki bytu ociemniałych byłych wychowanców i wychowawanie instytutu; wreszcie sprawozdania z obrotu funduszów, z części wychowawczo-naukowej i kronika za rok szkolny 1873/4. Pamiętnik drukowany był we własnej drukarni Instytutu,

przez trzech głuchoniemych wychowanców. Nateraz czynimy o nim tylko tę krótką wzmiankę, pozostawiając sobie na później możność obszerniejszego pomówienia, tak o dwóch pierwszych pracach w Pamiętniku zawartych, jak i o samym Instytucie.

Panu Wiktorowi Gomulickiemu udało się dokonać przekładu kaprysu Musset’owego „Co się podoba dziewczętom.” Zachowane w nim są wszystkie wdzięki oryginału, czyta się przeto fantazyjkę ową przyjemnie a krótko. Powinno to tłumacza zachęcić do dalszego porania się z Mussetem.

Żółkowski występuje — dwa te wyrazy spowodowały przepełnienie sali Teatru Rzmaitości.... A gdy zapowiedziano jeszcze iż Prosper Brona drzemać będzie, to już uciesze i radości

parę, młodzieniec nazwał ją aniołem... chwila ta miała być epoką w życiu bohaterki utworu. Młode to stworzenie, wychowane w domu siostry, hrabiny Aurelii Romińskiej, nie zna na świecie nic zgoła prócz zimnych a złoconych ścian pałacu i jeszcze zimniejszej etykiety, którą się w nim otaczano. Siostra, szwagier i stara guwernantka Drylska składają całe towarzystwo domowe, wśród którego bohaterka nasza czuje się najzupełniej osamotnioną.

Od siostry i szwagra odbiera ciągle nauki o obowiązkach, jakie ciążyą kobiecie dobrze urodzoną, o niebezpieczeństwie wszelkiej ciekawości i o nieograniczonym zaufaniu, jakie pokładać należy w doświadczeniu starszych.

Pani Drylska jest to osoba niemłoda, nudna i ograniczona: cień przywiązany do osoby panny Natalii i nic więcej. Osobistość ta w powieści, wygląda jak figury umieszczone na drugim planie i służące do wypełnienia próżnego płótna w obrazach. Spotykamy je pospolicie tam, gdzie do sceny przez artystę wybranej, mało wchodzi osób, a dekoracja obrazu musi być koniecznie większą.

W mowie będący utwór pani Morzkowskiej, przypomina nam takie obrazy;—ale nie uprzedzajmy wypadków. Pozostawiony sobie umysł młodej dziewczyny egzaltował się nad miarę. Dokuczał jej głód wrażeń, w sercu rodziły się pragnienia, z tych jedno objawiło się wyraźniej: pragnienie uczucia. Natalia potrzebowała pokochać kogoś, a sama też być mu „gwiazdą, światłem.”

Znaleziona przez nią w błękitnej oprawie książeczka, był to rękopis, na którego pierwszej stronie przeczytała tytuł: „Poezye, myśli i notaty, Romualda Kaliny.”

Na wstępie umieszczony wiersz „do nieznannej kochanki,” zapalił jej imaginację. Nie mogła mieć żadnej wątpliwości do kogo należał skarb, który wpadł w jej ręce. Młodzieniec spotkany przez nią nazywał się więc Romuald Kalina i był poetą. Zanim spotkała go w poetycznym ustroniu owego pamiętnego poranku, widziała raz stojącego na werandzie pałacowej ze szwagrem, hrabią Emilianem Romińskim; drugi raz przesunął się zdaleka między drzewami ogrodu. Szlachetna powierzchowność młodzieńca zwróciła odrazu uwagę Natalii, ale koby był nie wiedziała. Pytać nie pozwalała surowa reguła domowej przyzwoitości, a podniecona ciekawość napróżno gubiła się w domysłach.

Dopiero po owym spotkaniu, w niedzielę na rannej mszy, w pałacowej kaplicy, zjawił się nieznanemu, prowadząc za rękę synka hrabstwa Romińskich: był to więc jego nauczyciel.

W tej części utworu, uderza nas pewne naciągnięcie sytuacji w tem mianowicie, że rodzice dla oddalenia od domowego koła człowieka z innej sfery, rozstawali się z chłopczykiem, który przy nauczycielu, istocie niższego porządku, siadał do osobnego stołu i z rodzicami rozdzielonym był tak, że panna Natalia przez kilka dni widzieć go nie mogła. Nauczyciel bowiem nie odstępował prawdopodobnie wychowawca równie jak jej samej, pani Drylska. Wprawdzie obraz dziewicy rozmarzonej miłością dla nieznanego młodzieńca, snującego się między drzewami parku, przychodzącego po natchnienia w uroczą ustron, może być dobrym efektem powiesciopisarskim, obliczonym na obudzenie większego zajęcia, — czytelnik pragnie się przecie dowiedzieć, kto jest ów nieznanym... nie tak bardzo zapewne jak tego pragnęła panna Natalia, ale jednak...

Dotąd wszystko dobrze, niepodobna nam wszakże zamilczeć, że od autorki obdarzonej takim talentem, jak p. Morzkowska, mamy prawo wymagać większej znajomości życia sfer towarzyskich, z których czerpie tematy, lub jeśli

je zna dostatecznie, co nam się zdaje prawdopodobniejszym, większej ścisłości w odtwarzaniu stosunków, nie poświęcania prawdy dla pewnej tendencji lub efektu; o tendencji powiemy później, teraz powróćmy do wypadków powieści.

Spotkanie nad strumieniem dało bliżej poznać Natalii nieznaną osobistość młodzieńca, który odezwał się do niej mową, jakiej niesłyszała dotąd... Błękitna książeczka dopełniła wrażenia, księżniczka Staromirska pokochała Romualda Kalinę... znalezione wiersze odczytuje z zachwytem i przechodzącemu koło okien jej pokoju autorowi, pokazuje w rękę i przyciska do serca. Odtąd już księżniczka Staromirska, miewa schadzki o wschodzie słońca z nauczycielem domowym w parku nad strumieniem. Nasuwa nam się uwaga, że podobne uprzedzenie przez kobietę serdecznego z mężczyzną porozumienia, niezupełnie jest zgodne z obyczajami naszego społeczeństwa i wychowaniem kobiet naszych. Wypowiadając tę uwagę mamy na myśli zarazem postępowanie córki prokuratora w powieści autorki naszej, p. t. „Postąpiłem prawnie.”

W tym właśnie czasie młody hrabia Leopold Romiński, który znając Natalię tylko ze słyszenia, uznał ją za odpowiednią dla siebie partya, porozumiewawszy się pierwej z księciem Staromirskim ojcem, mieszkającym ciągle zagranicą, przybył do Głogowa, w zamiarze starania się o rękę, albo raczej w zamiarze otrzymania ręki Natalii.

Hrabia Emilian Romiński, szwagier księżniczki, uwiadomiony o zamiarach krewnego, równie jak i jego żona, hrabina Aurelia Romińska, pewni powodzenia tak znakomitego konkurenta nie pytają bynajmniej o usposobienie dla niego siostry; stan jej serca obojętnym jest dla nich.

Jakież było zdziwienie obojga, gdy po stanowczym z panną porozumieniu się, hrabia Leopold otrzymał odmowę, za przyczynę której dano z całą szczerością, że serce, które chciał posiadać, komu innemu było oddane.

Hrabia Leopold opuszcza Głogów, i na tem kończy się jego rola. Człowiek ten nie związany bynajmniej z intrygą powieści, potrzebnym był autorce jedynie, aby niepowodzenie, jakiego doznał, odkryło państwu Romińskim miłość księżniczki Staromirskiej dla pana Romualda Kaliny.

Tu kończą się platoniczne rozkosze dwojga kochanków, zarządzone śledztwo znajduje błękitną książeczkę, między siostrami przychodzi do gwałtownej sceny, nauczyciel opuścić ma pałac głogowski natychmiast, przed odjazdem wszakże kochankowie znajdują sposobność porozumienia się za pomocą kartki, rzuconej z okna: Natalia każe Romualdowi czekać na siebie za ogrodem o 12-jej godzinie, następnej nocy.

Zatem idzie ucieczka Natalii, z początku na niewygodnej bryce, dalej pociągiem z najbliższej stacji kolei do powiatowego miasta Włocławka. Romuald nie przypuszcza, aby ich zdradzić mógł jakkolwiek ślad; stanąwszy w hotelu spędzają uroczy wieczór, zziębniętej i przemożnej kochance Romuald podaje na kłęczkach herbatę...

Skoro jednak utrudzona podróżą Natalia udała się na spoczynek, Romuald stanął w otwartym oknie swojego pokoju, aby zdać sobie sprawę z wypadków, które tak prędko następowały po sobie i obmyśleć co nadal czynić wypada. Tentent i świst lokomotywy, który doleciał jego uszu od niedalekiej stacji kolei oznajmił o przybyciu do miasta wieczornego pociągu.

W tej stronie ukazała się wkrótce garstka

ludzi zapewne przybyłych, od niej oddzielił się jeden człowiek i szedł prosto ku hotelowi.

Za zbliżeniem się tego człowieka Romuald poznał przy blasku latarni hrabiego Emiliana; wkrótce zapukano do drzwi numeru: „panie Kalina otwórz pan”.

Tutaj wypada nam się chwilę zastanowić kto właściwie jest bohaterem utworu.

Niekoniecznie wprawdzie wymagamy, aby jedna z postaci wchodzących do układu powieściowej intrygi odbijała od tła obrazu tak silnie, iżby ją bohaterem nazwać wypadało; bynajmniej. Znamy w literaturze naszej obcych powieści, w których akcja dzieli się między kilka postaci równie wyrazistych, widocznie na jednym planie przez autora postawionych; są sztuki mające dwóch lub więcej bohaterów i bohaterek.

Tu jednak, o ile Natalia jest niewątpliwie bohaterką, Romuald Kalina nie jest nim bynajmniej. Bohater sztuki, jeśli nie jest postacią ze wszech miar sympatyczną, jeśli miewa wady wspólne ludziom, zawsze jednak musi to być osobistość wyższa nad inne osoby działające w powieści lub dramacie, choćby tylko siłą charakteru lub namiętności.

Widocznie demokratyczna tendencyja w początku utworu, pozwala się domyślać, że pan Romuald, człowiek nieznanego nazwiska a może i gminnego pochodzenia, kochanek i bohater wypadków, które w dalszym toku opowiadania przed oczami czytelnika się rozwijają, będzie tym kontrastem pełnym znacności i podniosłego ducha, jaki autorowie naszych powieści na tle tendencji demokratycznej osnutych, przeciwstawiać lubią zimnej i depczącej wszystko co do niej nie należy — arystokracji. Tak jednak nie jest.

Romuald Kalina, w powieści pani Morzkowskiej jest postacią ujemną, jak to dalszy bieg wypadków pokaże: kontrastu jednak, o którym tylko co mówiliśmy, nie zrzekła się bynajmniej autorka, człowiek uosabiający go, ukazuje się później — czekajmy.

Winniśmy wytłomaczyć dlaczego niejednokrotnie już w niniejszej pogadance zaznaczyliśmy, że powieść pani Morzkowskiej, zdradza pojęcia demokratyczne autorki. Miałyby to znaczyć, że pojęcia te uważamy za wadliwe lub zabarwienie niemi utworu, za niestosowne? bynajmniej.

Jednolitość opinii ludzi myślących jest niemożliwą, gdyby nawet spotkać ją można, byłaby ona, jak twierdzą niektórzy, dowodem pewnej jałowości umysłowej społeczeństwa. I owszem, różnice zdań są i muszą być wszędzie, każde społeczeństwo posiadać musi członków wyznających bardziej arystokratyczne lub demokratyczne zasady. Zależy to od położenia towarzyskiego ludzi, kierunku wychowania, a wreszcie i ostatecznie od ich sądu o sprawach społecznych, czyli jak zwykle mówimy od ich przekonania. I w jednym i w drugim ze stronnictw, na jakie tym sposobem dzieli się inteligentna ludność kraju, spotykamy ludzi zacnych, ludzi prawdziwie wyższych, niekiedy bohaterów — tak więc nie wdając się w kwestyę wymagającą więcej miejsca, konstatujemy fakt różności zdań i ten drugi fakt, że opinie pojedynczych ludzi nie mają związku z ich charakterem moralnym lub umysłową wartością.

Powieść tendencyjna jest znanym w literaturach wszystkich oświeconych społeczeństw rodzajem utworu i jakkolwiek narówni z komedią tendencyjną znajduje między estetykami zawziętych przeciwników, znakomita większość ludzi myślących i krytyków przyznaje jej prawo rozwoju w literaturze, a nawet przypisuje jej, nadewszystko w dziedzinie obyczajowości, ponieważ powieść tendencyjna najczęściej jest

powieścią obyczajową, poważne i rozległe zadanie.

Wobec takiego stanowiska tendencyjnej powieści, widzieliśmy pracujące na jej polu niepospolite talenta. Pojęcia demokratyczne od lat kilkudziesięciu objawiające się coraz z większą siłą w inteligentniejszych sferach naszego towarzystwa, znalazły miejsce i w powieści.

Kraszewski był jednym z pierwszych, którzy na tle tych pojęć przedstawiali stosunki naszego społeczeństwa— opowiadali wypadki, dając im rozwiązanie odpowiednie założeniu i zasadom piszących. W utworach tych, sfery arystokratyczne przedstawiano w barwach mniej korzystnych, przeciwstawiając im najczęściej wyższość umysłową i moralną, po stronie klas niższych.

Kierunek ten byle tylko uprawiany w dobrej wierze mógł oddać literaturze i obyczajom społeczeństwa rzeczywiste usługi. Przedstawiał on wdzięczny materiał dla powieściopisarskiej twórczości, tym więcej, że pojęcia demokratyczne, byle nieposunięte do zaślepienia, zawierają wiele żywiołu uczuciowego. Szczera sympatya dla klas mniej uprzywilejowanych współczucie dla cierpiących, upośledzonych niesłusznie, dowodzi niezawodnie zacności serca i pewnej podniosłości umysłu. Walka na polu literackim rozpoczęta w imię tych uczuć szlachetnych miała nawet cel poważniejszy: rozpowszechnienia i wyświecenia zasady równości ludzi pomiędzy sobą, zasady będącej jednym z najpiękniejszych nabytków cywilizacji bieżącego stulecia.

Niepodobna jednak przemilczeć, że ten kierunek pojęć, jak w życiu tak w powieści dochodził u nas niejednokrotnie do zupełnie krańcowych objawów. U ludzi silnych namiętności, a niedosyć dojrzałego sądu, pojęcia i zasady demokratyczne przybierały często prawdziwie potworne rozmiary.

Bezstronna historia naszego społeczeństwa przedstawi tę stronę jego umysłowego życia, jako jeden z jego najbardziej ujemnych objawów; dajmy jednak pokój życiu i zwróćmy się do powieści.

Zasady demokratyczne źle pojęte i tutaj zrzędziły niemało złego, niewszyscy bowiem z piszących utrzymać się umieli w granicach bezstronności i umiarkowania, niewszyscy trzymali się prawdy życiowej.

Dla tendencji poświęcano prawdę tę niejednokrotnie, namiętność unosiła piszącego, wyższe sfery towarzyskie obrzucano błotem. Tak zwanej arystokracji zarzucano chłód serca, dochodzący do nieczułości na wszystko co nie ma związku z życiem tej sfery; pychę bez granic, brak wszelkiego uznania dla bliźnich niemogących wywieść się z jakiego starego rodu, nienoszących tytułu i nierozporządzających odpowiednią fortuną. Największym jednak z tych zarzutów była pogarda wszystkiego co swojskie i zupełna obojętność dla pospolitego dobra.

Zwykle tedy postaci ze świata arystokratycznego figurujące w powieści uosabiały w sobie te wady ciężące dotkliwie na wszystkich lub niektórych przynajmniej osobistościach utworu, należących do niższych sfer towarzyskich a łączących przeciwnie najwyższe przymioty, jakimi natura wybrała dusze ozdabia. Ze stojących na polu obyczajowym, Józef Dzierzkowski, pisarz niezaprzeczonego talentu: z miłą chęcią, jak się o nim wyraża jeden z naszych historyków-literatów, rysował w czarnych kolorach „salon,” żeby mu stawić przeciwieństwo z enotliwej, najzacniejszej, pełnej zapału i poświęcenia się „ulicy.”

(d. n.)

## PRZEZNACZENIA.

Sceny z życia amerykańskiego,

przez

Fryderyka Gersteker'a.

(Przekład z niemieckiego.)

(Dalszy ciąg)

### IV. Na morzu.

Wieczorem przyniesiono jeść więźniowi, który zresztą nikogo nie obchodził. Nie chciał przyjąć. Gdy zaś ze strapienia swego zwierzył się cieśli okrętowemu, który do niego był przyszedł, prosząc o pomoc, ten odpowiedział ponuro:

— Jeśli chcesz usłuchać dobrej rady, chłopcze, to zachowuj się spokojnie i nie rób głupstw. Powinieneś zrozumieć, że położenia swego zmienić nie możesz, bo już nawet łąd straciliśmy z oczu, a że się stary dla twojej przyjemności nie zawróci, zwłaszcza teraz, gdy wiatr przychylny na południe nas pędzi— to także jest jasnym. Jeżeli jednak na dobry natrafimy połów, za trzy lata będziemy z powrotem—a wtedy, mając kieszeń pełną pieniędzy, będziesz mógł w Nowym Jorku pohulać sobie trochę. Teraz nic z tego. Kto raz przystał do służby okrętowej, ten czas swój wytrzymać musi.

— Ale ja nie przystał wcale! zawołał Jerzy rozdrażniony.

— Kiedy człowiek ma w głowie butelkę za dużo, nigdy nie wie nazajutrz, co robił wieczorem, to stare dzieje, mrucał cieśla i, nie obejrzawszy się na więźnia, wrócił na pokład.

Jerzy przepędził noc okropną w komorze przejętej stęchlizną, ciemnej i pustej. Okręt chwiał się i kołysał straszliwie—a choroba morska przyniosła nakoniec Jerzemu ulgę w jego cierpieniach duchowych.

I zaświecił ranek następny, ranek dnia zaślubin jego z perłą Nowego Jorku, której mu zazdrościły tysiące—a on? — on przyciskał twarz swoje spętanemi rękoma i jęczał głośno. Ale cóż z tego—tam u pokładu piętrzyły się i pluskały fale, które go coraz dalej unosiły od ukochanej... znajdując się zaś w ręku ludzi nielitościwych, nie mógł nawet poskarżyć się przed nimi bez narażenia się na szyderstwo z ich strony.

Tego dnia przyszedł do niego bednarz, zostawił drzwiczki otwarte, i wpuścił kilka promieni słonecznych. Przyniósł mu kubek kawy i suchar, a przystanąwszy, rzekł potrząsając głową.

— Dobrze wyglądasz, Mate, niech mnie diabli porwą, jeśli nie mógłbyś posłużyć za strażdło dla reszty załogi okrętowej. Ale opamiętaj się chłopcze, pierwszy harpunier zaraz przyjdzie zdjąć ci kajdany, bo dłużej ci tu próżnować się nie godzi.

Jerzy uważnie popatrzał na niego. Był to ten sam marynarz, którego widział w karczmie żeglarskiej na lądzie, wczoraj czy onegdaj wieczorem—nie wiedział—stracił już bowiem rachubę czasu.

— Czyśmy przypadkiem niedawno nie przepędzili razem wieczoru?

— Być może, Mate, śmiał się zagadnięty, kiedyście obaj, ty i twój towarzysz, razem z Boasem, starym oszustem, zasłi „pod kotwicę.” Musi u was w głowie być jeszcze strasznie zielono, kiedyście się oddali w ręce tego człowieka; jest to największy niegodzi-

wiec, jaki kiedykolwiek nosił kurtkę marynarską. Ale teraz już nie ma rady, bo jesteście w drodze i załogę mamy nieliczną, stary więc nie uwolniłby nikogo, gdyby mu to nawet było możliwym. Tymbardziej, żeby się to nie dało, gdyż łądu nie ma tu nigdzie, a na morzu nie napotkamy teraz statku żadnego bliżej jak o milę odległości.

— Lecz, czy wie wasz kapitan, na jakie się naraża niebezpieczeństwo zabierając mnie z sobą? — jestem...

— Bah! przerwał ze śmiechem bednarz, choć byś nawet był prezydentem, bracie—czem zdaje się nie jesteś, bo wyglądasz na to zamłodo—żadne prawo na świecie nie mogłoby się oświadczyć przeciwko naszemu kapitanowi. Wziął cię od Boasa, jeśli zaś ten cię zdradził, jego tylko mógłbyś oskarżyć w razie powrotu. Do starego jednak nikt nic mieć nie może; od kogoż bowiem mamy brać ludzi, jeśli nie od podobnych faktorów? — To ich rzecz a niejeden kapitan przez tygodnie całe musiałby pozostać w porcie gdyby mu oni nie sprowadzili załogi na pokład. Pocóż się wdajesz z takimi łotrami? — Dobrze, że zapłacisz frycowe. Na drugi raz, sam przyjdź na pokład i zastanów się dobrze.

— Ależ, myśmy się nie wdawali z nim—zawołał Jerzy — nie jesteście wcale marynarzami i spotkaliście go przypadkiem na ulicy.

Bednarz uśmiechnął się. Wiedział dobrze, że na okręcie dążącym na połów wieloryba wszystko się przyda — szewcy, krawcy i co tylko jest na świecie. Kto umie cokolwiek, znajdzie tu swoje zajęcie i będzie użytecznym.

— Ależ ja nic takiego nie umiem, cobym tu mógł spożytkować, zawołał Jerzy w ostatniej rozpacz, nauczyłem się prawa, byłem adwokatem, a potem wstąpiłem do interesu prowadzonego przez mojego ojca.

Bednarz spojrział na niego z prawdziwym osłupieniem i poświstywał przez zęby, potem zaś wybuchnął głośnym śmiechem, mówiąc:

— Adwokat w niewoli? ludojad? <sup>1)</sup> to wśmienie! doprawdy, kiedy o tem załoga się dowie, musisz być przygotowany na żarty all around, ludojad na pokładzie! Cóż za djabł przecie dał ci kurtkę marynarską chłopcze? To doskonale! sam nie wiem istotnie czem cię zająć.

Jerzy zagryzł usta, czuł jednak, że tu wszelka opozycja byłaby próżną. Kiedy zaś bednarz się odwrócił i chciał znów iść na górę, przyszedł mu na myśl Tom i co też się z nim stało.

— Hej, przyjacielu, zawołał ponownie do bednarza, wszak wiecie żeśmy wczoraj wieczorem byli we dwóch. Nie mogliście mi powiedzieć, czy i towarzysz mój jest tu na pokładzie lub co się z nim stało?

Bednarz zatrzymał się i potrząsnął głową.

— Ten drugi, co to miał włosy, tak jasne jak len, co?...

— Ten sam—czy jest tu na pokładzie?

Żeglarz raz jeszcze potrząsnął głową.

— Nie, rzekł, to nawet niemożliwe, gdyż, jeśli istotnie złapano was obydwóch, co mi się teraz wydaje prawie pewnem to Boas, upatrzył sobie dla was dwa różne okręty, aby was nie pozostawić razem. Być może, iż twój przyjaciel jest teraz w drodze do Indyi Wschodnich. *Raja-Brook*, wypłynął może na kwadrans przed nami i widzieliśmy go jeszcze pierwszego dnia o dziewiątej rano. Ludzie z tego okrętu byli także owego wieczora „pod kotwicą.”

Jerzy westchnął ciężko i głęboko. Więc był sam jeden, opuszczony, zgubiony, nie mógł nawet swoim dać wieści o sobie, nie mógł uspokoić rodziców, narzeczonej—swojej Jenny. A

<sup>1)</sup> Gatunek ryby morskiej, odznaczający się żarłocznością.

ona, co mogła pomyśleć o nim? jak musiała się niepokoić o niego i zmartwić, gdy wszystko kazało przypuszczać, że nie żyje. Wszystko zaś to z powodu jednego lekkomyślnego wybryku młodości. O! czyż za to zasłużył na tak okropną, straszliwą karę?

Bednarz powrócił na pokład, by ludziom okrętowym przynieść wiadomość, że złowili ludojada, jak marynarze zazwyczaj nazywają adwokatów, co za wielce pomyslną dla dalszego połowu uważał wróżbę. Tymczasem przyszedł nadół pierwszy harpunier w towarzystwie jednego ze sterników i przystąpiwszy do Jerzego, rzekł:

— Słuchaj no, mój chłopcze, bednarz tylko co opowiedział mi, że nie jesteś wcale żeglarzem i przez pomyłkę jedynie dostałeś się na okręt. Ale, bądź co bądź, jesteś już na pokładzie, a ponieważ pilno potrzeba nam ludzi, stary nie uwolniłby cię za nic w świecie, co zresztą nie mogłoby teraz nastąpić, gdyby nawet chciał. Bądź więc rozsądnym, albo my musielibyśmy cię rozumu nauczyć—co dla obydwóch stron byłoby nieprzyjemnem. Zdejmę ci kajdany i będziesz się mógł swobodnie zająć pracą. Jeśli jednak znów popełnisz głupstwo jakie, sam ściągniesz na siebie przykre następstwa. Przeszukaj mu po kieszeniach, Bill, czy czasem nie ma tam broni,

— Zrobiliśmy to już wczoraj, odparł sternik, nie ma nic.

— Jak on wygląda! gdzie są jego rzeczy? Jak się nazywasz chłopcze?

— Jerzy Halay, rzekł Jerzy ponuro.

— Samo Jerzy wystarcza, śmiał się harpunier, gdyż na pokładzie nikt cię tu nie będzie nazywał Mr. Halay. Czy masz skrzynię swoją na okręcie!

— Nie mam nic, brzmiała odpowiedź. Miałem przy sobie pieniądze, ale nie wiem, czy mi choć to zostawiono.

— Pieniądze? wiele?

— Około pięćdziesięciu dolarów.

— Pięćdziesiąt dolarów? zawołał harpunier zdziwiony. Doprawdy, nie jesteś żeglarzem, gdyż, mając jeszcze tyle pieniędzy, żaden marynarz nie powraca na morze. Ależ zdejmcie mu kajdany, Bill, i postarajcie się, żeby się umył, wziął świeże suknie i bieliznę. Powiem kapitanowi, żeby wydał to wszystko na jego rachunek. Jeśli ma tyle pieniędzy, może zaraz zapłacić, jeśli nie, później się uiszc. Tak jak jest nie mógłby się nawet pokazać w gospodarstwie.

Sternik już mu był zdjął okowy, ale Jerzy z początku zaledwo był w stanie poruszać ramionami; najsamprzód sięgnął do kieszeni, w której miał pieniądze—znikły—tak samo i zegarek, tym więc sposobem rzucony był w świat daleki bez środków i pomocy....

Harpunier śmiał się.

— Czyś naprawdę myślał, że towarzysz z noclegu, gdy cię pijanego sprowadził na pokład, pozostawił ci pieniądze? to nieprawdopodobne i nie zdarza się nigdy! Teraz zaś przedewszystkiem umyj się, wypierz swoje suknie i powieś je, Bill przyniesie ci wszystko, czego możesz potrzebować. Zanim zdązysz się przebrać, uwalniam cię od wszelkiej pracy, bo w tym stanie na nic się nam przydać nie możesz; czy wiosłować umiesz?

— Pewnie, że umiem, odrzekł Jerzy ponuro. Mam własny statek w zatoce do wycieczek wycigowych i żaglowych.

— No, to tem lepiej; więc jednak coś jesteś wart, a czego nie umiesz łatwo cię nauczymy.

— Jakież jest pierwszy ład, na który wysiądziemy? spytał Jerzy.

— Ha! ha! miły Boże, śmiał się harpunier,

to jeszcze potrwa długo, prawdopodobnie na jednej z wysp oceanu południowego.

— Ależ przecie wprzód jeszcze znajdzie się sposobność do wyprawienia listu?

Harpunier wzruszył ramionami.

— Któż to wie, być może, ale to mało ma prawdopodobieństwa, chybaśmy przybyli na wyspy Falklandzkie, cożby ci to wreszcie pomogło? nic. Jeśli chcesz usłuchać mojej rady bracie, a nożesz być pewnym, że wiem co mówię, gdyż wałęsam się już po morzu od lat trzydziestu sześciu, to zgódź się, ze swoim położeniem, jak mężczyźnie przystoi. *You are in for it*, jak się u nas mówi. Złapałeś się i kwita, a jeśli chcesz choć znośnie żyć wśród ludzi okrętowych, nie daj im poznać, że ci pomiędzy nimi niedobrze. Inaczej musiałbyś się przygotować na życie, jakiego i psu nie życzę. A teraz umyj i oczyść się, wyglądasz tak, że obrzydzenie nawet wzięść cię na hak sadowy.

(d. c. n.)

## ROZMAITOŚCI.

**Stowarzyszenie zarobku kobiecego.** W listopadzie r. 1866 kilka z wpływowych pań wiedeńskich zawiązało powyższe stowarzyszenie celem podniesienia oświaty i zarobkowania kobiet i dziewcząt. W ciągu 8 niespełna lat stowarzyszenie znakomite przyniosło owoce. W r. 1867 urządziło ono *szkołę szycia*, w której dotąd pobierało naukę 2,484 uczennic, *fabrykę kopert*, w której pracowało 537 dziewcząt. W roku 1868 stowarzyszenie uskuteczniło 6,337 *rozmaitych obstalunków*, wykonanych przez biedne, potrzebujące zarobku dziewczyny; w tymże roku otworzono *szkołę handlową* wraz z nauką korespondencji i buchalterii, która liczyła 495 uczennic; *szkołę przemysłową* z nauką rysunków, do której zapisało się 364 uczennic; wreszcie *szkołę elementarną* z 219 uczennicami. Utworzony w roku 1869 kurs języka francuskiego liczył 826, angielskiego 364, nauki zaś telegraficznej 292 uczennic; w dwa lata później przybył jeszcze kurs nauki *robienia sukien* 73 i zakład nauki rysunku wzorów 100 uczennic. Ogółem od roku 1867—1873, do zakładów naukowych stowarzyszenia uczęszczało 5,580 uczennic. Stowarzyszenie posiada bogate zbiory naukowe, bibliotekę, urządza popularne odczyty. Taka potężna działalność, o której daje nam pojęcia suche, tak jednak wymowne przytoczenie powyższych cyfr, jest dziełem szlachetnych i energicznych dam, oraz żywego zainteresowania się społeczeństwa wiedeńskiego;—zawsządy posyłały się hojne dary, opieka rządu i pomoc jednostek. To też towarzystwo posiada już własny wspaniały dom, którego budowanie i urządzenie kosztowało 230,000 złotych reńskich. Godny to naśladowania przykład i dowód co może energia i dobra wola.

**Nowa akademja malarstwa.** Niejaki Teodor Pixis zakłada w Monachium szkołę malarstwa i kompozycji, do której mają być przyjmowane same tylko kobiety, posiadające prawdziwe zdolności i gruntowne wiadomości wstępne.

(Niwa)

**Wzrastanie m. Londynu.** Od roku 1849 do 1873 w Londynie wybudowano nowych domów 262,563; założono 6,578 nowych ulic i 71 squarów. Długość tych nowych ulic i squarów wynosi przeszło 1,158 mil angielskich.

**Koszta utrzymania ogrodów publicznych** wynosiły w 1873 roku: Ogrodu Saskiego rs. 2,746, zaś Krasińskiego rs. 794 kop. 30.

**Wygotowywanie zwłok.** Historyograf Sułtana Saladyna, Bohaeddin, opowiada: że po śmierci Cesarza Fryderyka Rodobrodego, zwłoki jego wygotowane w occie i złożone w skrzyni wyprawiono dla pogrzebania do Ziemi Świętej. Istotnie było to zwyczajem, którego dopiero Papież Bonifacy VIII wzbronił, wygotowywać zwłoki w winie lub innym jakimś płynie, wtedy mianowicie gdy chodziło o przewiezienie śmiertelnych szczątków z dalekich stron do ojczyzny. Nazywano ten sposób pogrzebania *more teutonico*. Zmarłego na okręcie w drodze z Akre landgrafta turyngskiego, ciało pochowano na Cyprze, zaś wygotowany szkielet do Niemiec przewieziono. Takż pogrzeb sprawiono kanclerzowi, arcybiskupowi kolońskiemu Rajnaldowi, w r. 1167, oraz prazkiemu biskupowi Danielowi.

**Uposażenie nauczycieli w Prusach.** W ośmiu prowincjach królestwa Pruskiego przeszło 32 tysiące nauczycieli rządowych, nie pobiera nawet po 200 talarów rocznej pensyi, a tylko 10 tysięcy otrzymuje od 200—300 talarów.

Najsmutniejszy stan tych biedaków w Prusach Wschodnich i Zachodnich, gdzie pensya przecięciowo nie przenosi 160, a w W. Księstwie Poznańskiem 144 talarów. Podobnie i emerytury tylko 441 nauczycieli otrzymuje 200 talarów—zaś 826 niżej 50 talarów.

**Pianograf.** Artysta neapolitański, Achilles Parise doszedł do ciekawego wynalazku, nazwanego przezeń pianografem. Przy pomocy tego narzędzia, podczas gry, na papierze odtwarzają się wszystkie nuty granej sztuki, tak, iż improwizacye muzykalne stenografują się „pianografem,” z nadzwyczajną dokładnością. Komisya specjalna zbadała ten nowy mechanizm i oddaje mu wielkie pochwały.

**Szkoła lekarska dla kobiet** założoną została obecnie w Londynie. Między powołanymi do niej profesorami figuruje także znany uczony Huxley.

**Materyały do historii.** Z 28 tomowej korespondencji Napoleona I., p. Bystrzanowski wybrał najciekawsze ustępy, dotyczące dziejów ówczesnego Księstwa Warszawskiego, to jest okres od 1806 do 1814 r. Wyciągi te stanowiąc cenny dla historii materyał, w jednym tomie zebrane, niezadługo opuszczą prasę.